

Darwinizm na uniwersytecie

Rozmowa z udziałem: Tadeusza Sławka, Tomasza Stępnia,
Ireneusza Gielaty, Ryszarda Koziółka i Tomasza Bielaka

Ryszard Koziółek: Witam Panów. Chciałbym, żebyśmy porozmawiali o Darwinie i uniwersytecie. Jako inspirację wybrałem głosy dwóch autorów. Pierwszy należy do Lindsaya Watersa, autora wydanego u nas niedawno *Zmierzchu wiedzy*. Pisze on o kryzysie systemu wydawniczego, w którym badacz akademicki musi publikować jak najwięcej, chcąc przetrwać na rynku uniwersyteckim. Waters ujmuje naszą rzeczywistość właśnie w alegorię darwinowskiej walki o przetrwanie.

Inspiracja druga pochodzi od Michała Hellera, który pisze na łamach „Tygodnika Powszechnego” o korzyściach, jakie przynosi zatrudnianie młodych naukowców na krótki okres: „Taka sytuacja jest normą na Zachodzie i ma szereg zalet, prowadzi bowiem do naturalnej selekcji najlepszych naukowców, którzy, żeby utrzymać kolejną pracę, muszą wykazać się znaczącymi sukcesami w poprzedniej. Wszystko w myśl zasady *publish or perish*, czyli *publikuj albo giń*”.

Co sądzicie o trafności tych diagnoz lub chociażby tylko sugestywnych alegorii? Czy się w tym odnajdujecie?

Tomasz Stępień: Ja bym tu dodał jeszcze jedną kwestię. Skoro hasłem wywoławczym stał się Darwin, mógłby to być również taki ciąg myślenia: Darwin – nowoczesna nauka – pozytywistyczny paradygmat badań naukowych i kryteria naukowości, przełom antypozytywistyczny i humanistyka. Pytanie, czy to, co uprawiamy, jest nauką czy nie i komu właściwie jest potrzebne. Myślę, że to ściśle wiąże się z książką, od której wyszliśmy.

Tadeusz Sławek: Pewnie się odnajdujemy, oczywiście, tylko może nie pod pewnymi darwinowskimi sztandarami, może nie myślimy o naszej historii, sytuacji w kategoriach Darwina. Przyniosłem ostatni biuletyn „MLA”, który jest bardzo miarodajnym czasopismem dotyczącym profesji i stanu profesji, w nim mocny akcent na ekonomiczne aspekty tejże. Autorzy artykułu piszą, że w ogóle spadek zatrudnień, liczby otwieranych posad uniwersyteckich jest dramatyczny i sięga już nieomal 30% w humanistyce. To o czymś świadczy, prawda? Warto więc wrócić do tego, o czym mówił Tomek, do szerszego pytania o humanistykę, o to, czy jesteśmy potrzebni. Kwestia użyteczności tego, czego uczymy, jest stałym elementem wszystkich sprawozdawczości brukselskich.

Tomasz Bielak: Ta książka nie do końca odpowiada naszej sytuacji. Dlaczego? Dlatego, że my z jednej strony mówimy o nadprodukcji, z drugiej – polski system akademicki generuje z trudem kilkanaście etatów na wydział rocznie (miejsca pracy pojawiają się z reguły dlatego, że ktoś odchodzi z powodów zdrowotnych, politycznych lub umiera). Dlatego owo „miejsce początkowe” kryzysu nijak się ma do problemów uczelni, o których pisze Waters. Amerykanie tak naprawdę nie walczą o byt czy utrzymanie kierunku. Władze ich uczelni walczą o kolejnych noblistów (nie tylko legendarny MIT, gdzie mamy na jeden kilometr kwadratowy jednego noblistę, a słynna „ściana sław” onieśmiela każdego naukowca). Apokaliptyczny ton wywodu Watersa jest w Polsce chyba obecny od paru lat. Polska nauka (dokładniej – polska nauka publiczna) jest w notorycznym kryzysie, a humanistyka tym bardziej, co pewnie bezpośrednio łączy się z pytaniem, czy jest potrzebny ktoś, kto „niczego nie wytwarza” (czy my, humaniści, coś produkujemy?).

Ireneusz Gielata: Profesor Sławek wspomniał o redukcji etatów na kierunkach humanistycznych. Pisze o tym również Waters, który zwraca uwagę na pewien paradoks związany z tym procesem. A mianowicie, wraz ze zmniejszeniem liczby etatów rośnie w zastraszający sposób ilość publikacji naukowych. Przy czym produkcja nie jest tu w żaden sposób powiązana z recepcją – spada ilość kupowanych przez biblioteki uniwersyteckie książek i spada ilość książek w nich wypożyczanych. Nikt już nie jest w stanie nadążyć za tą produkcją. A ona wciąż rośnie. Waters sugeruje, że pokolenie profesorów wytworzyło rodzaj nacisku zmuszającego – zwłaszcza młodych pracowników – do ciągłego publikowania, mnożenia tekstów, których nikt nie czyta.

Ryszard Koziółek: Ja postrzegam humanistę na podobieństwo rolnika w Unii Europejskiej, który produkuje za dużo, więc trzeba go dotować. Książka jest jedynym materialnym produktem naszej działalności, w przeciwieństwie do nauczania. Ono oczywiście „produkuje absolwenta”, tak też można powiedzieć. Ale to przede wszystkim tekst jest dowodem naszej produktywności.

Tadeusz Sławek: Mnie się wydaje, że użyteczność jest kryterium anachronicznym, w gruncie rzeczy dziewiętnastowiecznym, jak mówił Tomasz, stanowi pewien pozytywistyczny mit. Ale to ciekawe z tym rolnikiem, odpowiednością pomiędzy pozycją humanisty a rolnika w Unii Europejskiej. Rolnika, którego trzeba dotować, aby produkował. Chociaż tu paradoksalnie trzeba go dotować, by nie produkował, prawda?

Tomek wspominał o dziewiętnastowiecznym paradygmacie – to pułapka, w którą daliśmy się wpędzić, wymuszająca przekonanie, że to, co „produkujemy” da się skwantyfikować, musi dać się wymierzyć. Sam byłem biurokratą, więc wiem, że biurokracja musi zobaczyć produkt, zobaczyć książkę, dotknąć, choćby jej nikt nie przeczytał, musi ją mieć, pieniądze poszły na to i na to. Nauczanie nie odgrywa w naszych karierach zawodowych niemal żadnej roli. Uważam, że to jest nieszczęście, bowiem cały ciężar został przerzucony na publikacje, a to, gdzie leży serce i początek naszego zawodu, czyli nauczanie, zostało odsunięte na bok.

Tomasz Stępień: Zgoda, przy czym to jest ciągle pytanie o to, kim jesteśmy, bo każdy, kto znalazł się w przestrzeni uniwersytetu, przynajmniej polskiego, musi być nauczycielem akademickim, czy tego chce, czy nie.

Tomasz Bielak: Myślę, że potrzebne jest w tym miejscu drobne dopowiedzenie: z „pomocą” w tej sytuacji przychodzą uczelnie prywatne, które zupełnie odwracają tę relację. Dla ich właścicieli i władarzy liczy się głównie dydaktyka i to dydaktyka na swój sposób „szolmeńska”. W takiej przestrzeni liczy się „interesariusz” (bo trudno już powiedzieć, że to student, skoro ma w zanadrzu dziesięć wzorcowych podań do dziekana-tu z przygotowanymi pretensjami i szasta nimi, kiedy konkretne zajęcia nie spełniają pewnych standardów czy oczekiwań). **Dorobek naukowy** ma znaczenie drugorzędne, bardziej liczą się **stopnie naukowe**, które powinny wiązać się ze wspomnianą „mocną dydaktyką” (z użyciem sprzętów multimedialnych, z zabawami intelektualnymi, z wyjściami metodycznymi, itd.). Co ciekawe, wielu z nas tam się właśnie odnajduje. Uczelnie prywatne stają się przystanią dla osób mających problem z na-

ukowością, która w uczelni publicznej stanowi kryterium przydatności do zawodu i jest stawiana zdecydowanie na miejscu pierwszym.

Ryszard Koziołek: Tylko co stanowiłoby kryterium wartościowania dydaktyki: liczba studentów, którzy przychodzą na zajęcia? Na pozór wydaje się to najprostszym rozwiązaniem. Ale to jest przecież czysto komercyjne spojrzenie na studenta jako na klienta. Ja sobie nie wyobrażam takiej sytuacji, że ocalamy jedynie tego dydaktyka, który przyciąga największą ilość słuchaczy. Może zdarzyć się tak, że ktoś prowadzi hermetyczne konwersatorium, na które przychodzi trzech studentów i ono może być znakomite. Uważam, że uniwersytet to jest instytucja, którą powinna cechować pewna szlachetna rozrzutność.

Tomasz Bielak: Spencer, wcześniej niż Darwin, ukuł formułę: *the survival of the fittest*. Perspektywa zajmowanego w obrębie akademii miejsca każe mi ustawicznie zadawać pytanie, jak definiować tę kategorię, innymi słowy – co to znaczy być *the fittest*? Czy to znaczy być komercyjnym (rozdawać piątki w indeksach), być takim *key-note speakerem* (stawać na głowie, śpiewać na wykładach, aby zgromadzić rzesze studentów, bo to będzie miarą wartości), czy raczej być *the fittest* to być bezkompromisowym, pisać jeden tekst rocznie, ale taki, że potencjalnym czytelnikom uginają się kolana, co niestety (wybaczcie beczelność młodziaka!), wydaje mi się obecnie niemożliwe, bo bazy danych SAGE czy PROJECT MUSE pokazały polskim naukowcom, że z dzisiejszej perspektywy być wybitnym jest szalenie trudno.

Tomasz Stępień: Ja bym tutaj wrócił do kwestii dotyczących specyfiki obszaru, w którym funkcjonujemy. Przed naszą rozmową sięgnąłem do bardzo starej książki pani Marii Janion i do stosunkowo świeżej książki Tadeusza *Antygona w świecie korporacji*. Myślę, że pojawiają się tam problemy ściśle powiązane z tym, o czym mówi Waters. Janion stawia zasadnicze (tytułowe dla książki) pytanie: humanistyka – poznanie czy terapia? Czy mamy iść w kierunku ścisłej nauki, gdzie wzorcem jest algorytm, pewna matematyzacja, ścisłość a zarazem hermetyczność języka, czy też w kierunku form perswazji społecznej o wyraźnym nacechowaniu aksjologicznym? Tradycyjna humanistyka, zwłaszcza polska, miała charakter terapii. Literaturoznawstwo ściśle przylegało do literatury i budowało na ogół jakąś krzepiącą bądź uzdrawiającą opowieść adresowaną do wykształconych (i kształcących się) warstw społeczeństwa polskiego. Humanistyka jako poznanie, nauka... Tu w punkcie wyjścia jest badacz, który z dystansem podchodzi do jakiegoś obszaru

zjawisk kulturowych i usiłuje o nim coś sensownego powiedzieć. Potem może odegrać jedną z dwu odrębnych ról społecznych. Po pierwsze: **naukowca**, co wiąże się z określoną procedurą badawczą, ściśle określoną metodologią i językiem opisu, autorytetem naukowości (prawdy?). W perspektywie rynkowej jest to specjalista-ekspert od sprzedawania takich czy innych rzeczy, czy to będą ludzie, idee czy produkty. Po drugie: **uczony – myśliciel – mędrzec**, nie wstydzmy się tego słowa. To kierunek, w którym poszedł Bauman, poszła Janion, poszedł Tadeusz, o czym świadczą jego książki. W punkcie dojścia roli specjalisty-eksperta jest pytanie: „jak coś sprzedać?”. W drugim wariantcie – próba odpowiedzi na pytanie: „jak żyć?”. Obie role przenikają się, myślę, że w każdym życiorysie naukowym można je (obecne w mniejszym lub większym stopniu) odnaleźć.

Tadeusz Sławek: Tak na marginesie tego, o czym mówił Tomek. Zgadzam się, tylko to jest jeszcze dość optymistyczny obraz. Przedstawia pewną sferę, w której funkcjonuje jakaś grupa ludzi, wielka lub niewielka i ona jest takim bibelotem. Ale ten bibelot się szanuje, odkurza, od czasu do czasu renowuje, daje się mu ładny kredens, żeby ładnie wyglądał. Natomiast, jeśli dobrze rozumiem pańską uwagę, sytuacja jest o tyle gorsza, że o ten bibelot już nikt nie dba. Tam się ukruszył, tam się odłamał, nikt go nie restauruje, jest w złej kondycji.

Ireneusz Gielata: Uniwersytet nie „żyje” w próżni. To instytucja, która podlega procesowi, który prof. Sławek w swojej książce *Antygone w świecie korporacji* nazwał „kryzysem elitarności”. Książka ukazała się w 2002 roku. W jakiś sposób koresponduje z wydaną w naszym kraju w 2008 roku książką Francka Ferudiego *Gdzie podzieli się wszyscy intelektualści?* Ferudi zwraca uwagę na to, że większość polityków tworzących Unię Europejską promuje inkluzję, która polega – by użyć formuły prof. Sławka – na „schlebaniu temu, co małe”. Uniwersytety, zwłaszcza prywatne, walcząc o jak największą liczbę kandydatów, zaczynają prowadzić politykę inkluzji. A więc nie podejmują żadnych prób, by doskonalic gusta społeczne. Wręcz przeciwnie – chcą być powszechnie dostępne i dlatego dopasowują swoje programy do przeciętnego studenta. W ten sposób inkluzja przyczynia się do poszerzenia dostępu do wiedzy. Ferudi mówi, że inkluzja wcale nie przyszła z dołu, tylko z góry. To na uniwersytetach powstały koncepcje tzw. „pedagogiki inkluzyjnej”, która polega na kształceniu dzieci i młodzieży w taki sposób, aby nie poczuły one, że są kimś gorszym. „Poczuj się dobrze, ma ci być dobrze” – to hasło pedagogiki opartej na inkluzji. Toteż nie można młodego człowieka

karać, zwłaszcza za to, że czegoś nie wie. Trzeba go nauczać łatwych rzeczy, nie wymagać od niego zbyt wiele, by nie poczuł się „kimś gorszym”. Polityka inkluzyji sprawia więc, że rośnie ilość studentów, a jednocześnie maleją wymagania, jakie się im stawia. W efekcie profesorowie nie uczą, lecz trenują młodych ludzi. A trening ten służy jedynie do tego, aby mogli oni – jak pisze Ferudi – bezpiecznie „zaparkować” w rzeczywistości gospodarki rynkowej. Dlatego na uczelniach nie szuka się już mistrzów, nawet tych, którzy funkcjonują jak bibelot, lecz trenerów.

Tomasz Bielak: *À propos* bibelotyżacji – przywołam dwa cytaty z książki Davida Lodge’a *Fajna robota*. Bohaterowie rozmawiają: „czy to cię nie niepokoi – spytała, to, że rzeczy, którymi tak się przejmujemy, na przykład, czy Derrida, krytykując metafizykę nie dopuszcza możliwości idealizmu albo czy teoria Lacana jest fallocentryczna lub czy teoria Foucaulta da się pogodzić z dialektycznym materializmem zupełnie nie obchodzą 99,9% społeczeństwa”. I drugi cytat: „Sądzę, że to samo powiedziałby przedstawiciel szarego społeczeństwa o seminarium poświęconym dekonstrukcji, dlaczego społeczeństwo ma płacić, żeby się dowiedzieć, że ludzie nie chcą powiedzieć tego, co mówią, a chcą powiedzieć to, czego nie mówią, kiedy ze sobą rozmawiają?”¹. W procesie, o którym Pan Profesor mówił, jest pewien dramat. Chętnie określiłbym swoje stanowisko tak: Według mnie powinno istnieć miejsce dla tych, którzy zajmują się rzeczami nierentownymi. Ale największy problem w tym, że środowisko coraz częściej staje się podejrzliwe wobec samego siebie. Zaczynają się dziwne migracje, wynikające z faktu, że żyjemy w kulturze, w której dominuje *fetysz ratingu*. Jesteśmy oceniani notorycznie, jesteśmy poddawani ankietowaniu – nawet anonimowo, w Internecie (przykład: *ocień.pl*). Mam wrażenie, że została naprawdę garstka ludzi, którzy są w stanie oprzeć się takiej tendencji. Zacznie się pewien rodzaj „koniunkturyzacji nauki”: człowiek, który do tej pory zajmował się Miłozsem, w końcu się „złamie” i napisze tekst o „pudelku.pl”, bo to się „sprzeda”. I jeszcze jedno: Irek cały czas podkreśla, że tekstów jest coraz więcej, a naukowców coraz mniej. Ale powtarzam, to jest możliwe w amerykańskiej rzeczywistości uniwersyteckiej, gdzie czasopism jest naprawdę mnóstwo i są naprawdę inne pieniądze. W polskiej humanistyce tymczasem mamy „korek”, na publikację książki habilitacyjnej czeka się więcej niż rok, na publikację w „Tekstach Drugich” (jeśli zostaniemy zakwalifikowani) pewnie tyle samo, na wydanie monografii

¹ Cytaty pochodzą z książki: D. Lodge, *Fajna robota*, Poznań 1998.

pokonferencyjnej – wartej jeden punkt – czekamy często dwa lata. Tak naprawdę to są zupełnie inne realia.

Ireneusz Gielata: Właśnie ukazała się książka Dominika LaCapry *Historia w okresie przejściowym*. Jej ostatni rozdział stanowi polemikę z książką Readingsa *Uniwersytet w ruinie*. LaCapra pokazuje, że poczucie, jakoby uniwersytet znajdował się w stanie kryzysu dominuje już pośród XIX-wiecznych intelektualistów. Sugeruje wręcz, że kryzys wiedzy czy zmierzch wiedzy stały się powracającym toposem myśli nowoczesnej.

Tomasz Stępień: W tej sytuacji pojawia się pytanie, jakim dyskursem ma się zajmować filolog? Portalem „Pudelek” czy poezją Miłosza? Odpowiem tak: psim obowiązkiem badacza tekstów kultury jest zajmowanie się tym, co się dzieje we współczesnym świecie. Oczywiście nie chodzi o to, aby większość badaczy zajmowała się pudełkiem, blogami, forami internetowymi. Ale jest przecież tak, że ludzie ciągle coś czytają, oglądają, mają takie lub inne przeżycia intelektualne i artystyczne, jakieś życie duchowe. A ono rozgrywa się bardzo często poza przestrzenią filharmonii, poza BWA, poza czasopismem specjalistycznym artystycznym, literackim, w znacznej części dzieje się w „galaktyce Internetu”.

Tomasz Bielak: Zastanawiam się, czy przypadkiem sami sobie nie strzeliliśmy „samobója” z doborem tematyki badawczej? Prosty przykład: składamy co pół roku wnioski o granty z KBN-u. Kiedy analizujemy listę odrzuconych, widzimy, że wiele wniosków dotyczy właśnie badań literackich, a grant za wiele tysięcy euro, dotyczący nowej tkaniny (w kraju, gdzie przemysł włókienniczy jest w odwrocie!), zostaje zaakceptowany. Dlaczego nie udaje się przekonać tych, którzy decydują, że symboliczna kartka papieru i długopis oraz dobre miejsce w bibliotekach jest również wartościowe, ma charakter użyteczny? Nasze dłubanie może przecież mieć spektakularny charakter i nie musi oznaczać zamknięcia. Ryszard pyta o poziom komercjalizacji, a ja pytam, dlaczego nie potrafimy skomercjalizować naszych badań, które dla mnie na swój sposób są atrakcyjne, bo możemy dać ludziom informacje, na temat tego, jak wyglądają obszary kultury, w której żyjemy. W mojej ocenie interesujący jest moment, w którym udało się środowisku wmówić, że nasze badania nie będą komercyjne i nie są atrakcyjne dla odbiorcy. Polonistyka czy neofilologie są i tak w uprzywilejowanej roli, anglistyka cieszy się nadal ogromną popularnością, a poloniści mają dosyć dużą „mobilność”, zamieniają się w PR-owców, medioznawców, kulturoznawców, muzykologów, ale co począć na przykład z taką filologią klasyczną?

Tadeusz Sławek: Pan pyta, gdzie to się zaczęło? Trudno mi odpowiedzieć jednoznacznie; chodzi zapewne o cały splot przyczyn, których nie potrafię dokładnie nazwać. Ale gdyby kontynuować wątek oświeceniowy, o którym mówił Tomek, trzeba by powiedzieć, że studiujemy go wrywkowo. Przejęliśmy tę nieszczęsną niewidzialną rękę rynku Smitha, ale nie czytamy, że dalej Smith mówi nam już coś trochę innego, bardzo krytycznego. Wynotowałem to sobie, Smith mówi tak: „Wraz z postępem podziału pracy, ogromna większość tych, którzy z niej żyją, a więc ogromna masa ludności zatrudniona będzie jedynie w kilku bardzo prostych czynnościach, wielokrotnie zaledwie w jednej lub w dwóch”. Potem zadaje sobie pytanie, co zrobić z edukacją. Krótko mówiąc, myśmy chyba nie odrobili lekcji oświecenia, a jeśli odrobiliśmy, to taką w miarę szkolną, ładną, pozytywną, z kultem wiedzy itd., itd. Owa koncepcja świata oświeconego, który można całkowicie wyjaśnić i doskonalić samym rozumem miała oczywiście w sobie coś naturalnego, urzekającego, wskrzeszała dawną dumę mitycznych tytanów, przybliżała niebo, które zamierzała osiągnąć. Ja myślę, że my tak odczytaliśmy oświecenie, zachłysłiliśmy się kwantyfikowalną, racjonalną, sprzedażną, użyteczną wiedzą. Nie zauważyliśmy natomiast, że niebo, do którego nas przeprowadziła – nie jest to tam, tylko to tu. Wracając do nieszczęsnego Smitha: „Człowiek, który spędza swoje życie, wykonując kilka prostych czynności, których skutki są być może zawsze – bądź prawie zawsze – takie same, nie ma okazji ćwiczyć swojej inteligencji czy pomysłowości i wynaleźć nowe sposoby pokonywania trudności czy takie, które się nigdy nie zjawiają?”. I jeszcze ostatni punkt, zawsze wydawało mi się dziwne, że cały czas mówiliśmy o reformie uniwersytetów, właściwie nie zadając sobie pytania, jak ma wyglądać człowiek, który przychodzi na uniwersytet, nie pytając o szkołę średnią. Jako rektorzy patrzyliśmy na reformę ministra Handkego bez entuzjazmu, ale z zainteresowaniem i życzliwością, powiedziałbym. Dzisiaj, kiedy całe kółko się przekreśliło, widzę, że to było niedobre. Utworzenie gimnazjum kosztem liceum było katastrofą.

Ireneusz Gielata: Ale i kierunki techniczne cierpią na brak kandydatów, bo trzeba na nich studiować matematykę. Ktoś chce iść na inżynierię, czy biologię? To są kierunki, które stawiają wysokie wymagania studentom, a młody człowiek woli się uczyć „łatwo i szybko”.

Tomasz Stępień: Część z nas pracuje na uczelni, która jest mariażem kierunków technicznych i humanistycznych, z doświadczenia wiemy, że są problemy z kandydatami na studia inżynierskie, ministerstwo

wręcz dotuje te kierunki, funduje stypendia itd. Ale żeby młodzi ludzie mogli tam studiować, uczelnia musi organizować semestralne kursy doczucia matematyki.

Ryszard Koziołek: Ten chłodny powiew ekonomii przywrócił temat główny naszej rozmowy. Czy wobec tych bolączek nie sądzicie, że należałoby wyzwolić większą konkurencję na uniwersytecie? Czy nie uważacie, że uniwersytet powinien być przestrzenią wewnętrznej rywalizacji?

Tomasz Stępień: Ja też o Darwinie, ale jeszcze w odniesieniu do studentów. Ogólny poziom wiedzy jest bardzo niski, a moje wykłady często zamieniają się w ogólnohumanistyczne (historia, filozofia, religioznawstwo...) korepetycje. W związku z tym mam bardzo mieszane uczucia, co do lawinowo rosnącej liczby studentów. I pytanie – tu jak najbardziej Darwin się kłania – czy wszyscy powinni studiować, czy wszyscy nadają się na studia, czy wszyscy powinni kończyć liceum? Znamy takie przypadki: rodzice na siłę wysyłają dziecko do liceum, a potem na studia, kiedy ono byłoby może znacznie bardziej szczęśliwe, mając konkretny zawód i będąc np. kucharzem czy mechanikiem samochodowym. Z drugiej strony, młody człowiek po przejściu przez tok studiów trochę się zmienia. Z moich doświadczeń wiem, że po licencjacie absolwenci stawali się trochę innymi ludźmi, inaczej mówili, pisali, myśleli. Więc może jednak jakiegokolwiek studia, nawet na poziomie najniższym, ale dla wszystkich?

Ireneusz Gielata: Może warto w tym momencie postawić sobie pytanie: Kto z nas ostatnio wpisał dwóję do indeksu? Raczej tego nie robimy, odsyłamy studentów i nie wpisujemy im dwój. Czy nie działamy już pod wpływem „pedagogiki inkluzji” i nie chcemy, aby student „poczuł się źle”?

Tomasz Bielak: To jest też pytanie o status szkoły, które stawia Pierre Bourdieu – miejsca, gdzie od początku dokonuje się zbiorowe oszustwo: wszyscy mogą/mają być równi. Już szkoła podstawowa uczy dzieci i rodziców, że można poprawiać oceny, testy, klasy w nieskończoność, że istotą uczenia jest wyrównywanie szans. Tymczasem Spencer mówi: „Prawo przetrwania najlepiej przystosowanych zostało stworzone przez człowieka i może być przez niego wypowiedziane. Nie wolno odbierać zdobycy zwycięzcom”. „Bóg pomaga tylko tym, którzy sami sobie radzą” – dodaje Franklin. Jeśli uniwersytet (stosując darwinowskie zasady) zrezygnuje z rzeszy studentów, to oni znajdą miejsce w szko-

łach prywatnych i ceną będzie likwidacja uczelni publicznych. Także dlatego, że nie można odłączyć od etatu części dydaktycznej – nie ma przecież etatów naukowo-badawczych (poza PAN-em i IBL-em).

Tadeusz Sławek: Powraca kwestia kwantyfikacji i biurokratyzacji wszystkiego i od tego nie uciekniemy, ale ona właśnie wymagała by bardzo specyficznego opisu i jakiejś analizy, co właściwie daje, co wprowadza. Natomiast pytanie, czy to nie jest tak, że my nie musimy walczyć, to pytanie o konkurencję, rywalizację... Myślę, że dobrze jest mówić o rywalizacji, ale dużo zależy od tego, co pod tym pojęciem rozumiemy. Jeżeli mamy na myśli rywalizację w antycznym ujęciu „agonicznym”, to oczywiście. W tej chwili natomiast rywalizacja toczy się na całego w zasadzie na poletku gier biurokratycznych i ekonomicznych. Obecnie bardzo pożądana jest umiejętność wypełniania tych wszystkich grantów i formularzy. To jest bezcenna umiejętność – co mówię bez ironii – i tu się część walki toczy. Inna część w charakterystycznych konkurencjach klasycznej uczelni (doktorat, habilitacja) i tu efekty walki są bardzo różne. Podziwem darzę kogoś, kto porusza się sprawnie w przestrzeni grantowej, ale nie podzielam optymizmu pozytywnego myślenia Hellera, że wystarczy pójść za modelem amerykańskim i dać tylko trzy lata zatrudnienia, premiować umiejętność radzenia sobie, aby rozwiązać problem uniwersyteckiej przyszłości młodych ludzi. Może mało wierzę w rozwiązania czysto administracyjne. One mogą być pomocne jako dodatkowe narzędzie, ale nie wierzę, że uzdrowią sytuację kadry w uniwersytetach.

Ryszard Koziołek: Chciałbym zapytać was, bardziej doświadczonych, mających przez pewien czas większy lub mniejszy wpływ na kierunek przemian uniwersytetu: Kto dziś stanowi osobową wartość uczelni, kto jest jej dobrem szczególnym? Wybitny dydaktyk czy skuteczny zdobywca grantów?

Tadeusz Sławek: Myślę, że żadna szkoła wyższa nie może sobie pozwolić na lekceważenie ani dobrych dydaktyków, ani zdobywców grantów. Natomiast problem polega na tym, że nie ma sposobu wychwylenia trzeciej kategorii, którą nazwijmy kategorią mędrców, choć to nie jest dobre słowo. To kategoria ludzi, których słowo coś znaczy, chociaż może nie publikują w czasopismach z listy filadelfijskiej.

Tomasz Stępień: Mam tę świadomość, że potrafię napisać coś nadającego się do druku w formie artykułu czy książki, nie ma we mnie jednak wewnętrzznego przekonania, że jestem w stanie powiedzieć coś

szczególnie ważnego na jakimś temat; że to, co chciałbym napisać, jest w jakiś sposób niezbędne. Trochę przerażające są jednak dla mnie odwiedziny w taniej księżce w Bielsku, gdzie książki (np. wydawnictwa Universitas), mające duże znaczenie dla branży, po roku, góra dwóch są przecenione o połowę. Przekonanie o względnej pożyteczności tego, co robię zaczyna mi coraz częściej towarzyszyć. Być może jest to związane z wiekiem.

Sądzę, że naszym podstawowym zadaniem i tym, co w naszej pracy najistotniejsze, jest uczenie ludzi czytania tekstu, czy też szerzej, czytania świata. Podejmując kwestię tego, czym humaniści powinni się zajmować, przypomnę, że większość literaturoznawców czy kulturoznawców zajmuje się tym, co interesuje mniejszość obywateli tego kraju i wydaje mi się, że nie jest to sytuacja zdrowa. Nie chcę likwidować ani „wielkiej” literatury, ani „wielkiej” sztuki, ani tym bardziej tych, którzy się ustalaniem tej „wielkości” zajmują, ale ustalmy pewne proporcje. Na Zachodzie są osobne katedry zajmujące się kulturą popularną, są studia kulturowe itd. A u nas, właściwie poza Wrocławiem i Krakowem, nawet przedmiot „literatura popularna” pojawia się z trudem w siatkach zajęć. Galaktyka Internetu, w której dzieją się jakieś nieprawdopodobne rzeczy, to jest nasze drugie życie. Poloniści i filolodzy powinni się tym zajmować, ponieważ tam ciągle podstawową formą komunikacji jest tekst. Kiedy widzę habilitację na temat pisarzy, poetów drugorzędnych czy trzeciorzędnych, to zastanawiam się, dlaczego nie pisze się o tym, co oglądają, czytają ludzie. Te nasze książki niewiele mówią o naszym świecie i współczesnej kulturze.

Tomasz Bielak: Odniosę się do tego, o czym powiedział profesor Sławek. U nas pojęcie „rzetelny” jest rozumiane pejoratywnie. To swoisty syndrom mojego pokolenia. Niemal notoryczne zadawanie sobie i innym pytania: Czy jestem / jesteście wartościowi? Interesuje mnie problematyka mediów i założmy, że mam tekst w „Rolling Stone”, ale nie mam w „Tekstach Drugich” („Teksty drugie” – 600 egzemplarzy i wiele punktów, „Rolling Stone” – globalny nakład, zero punktów). Czy dla mojej Uczelni ma to znaczenie? Czy dla Państwowej Komisji Akredytacyjnej ma to znaczenie? Sądzę, że profesor Heller głosi nieco naiwne tezy. Wspomina, że pojawił się w legendarnym kanadyjskim instytucie, ale tylko na marginesie zaznacza, że jest on sponsorowany przez firmę *Blackberry*, a gromadzenie fizyków i matematyków (poza możliwościami wymiany intelektualnej) służy także polepszaniu produktów globalnego producenta *smartphone’ów*. Założenie, że miarą mojej wartości miałby

być trzykrotny pobyt w *Perimeter Institute* jest zwyczajnie pozbawione podstaw. Jestem przekonany, że na jakiejś uczelni w Polsce jest naukowiec, który nie pojawi się tam ani razu, ale jest równie wartościowym badaczem i znakomitym nauczycielem. Kiedy słyszę z ust zbliżającego się do emerytury profesora *publish or perish*, mam tylko jedno pytanie: Czy w czasach, kiedy rozpoczął karierę naukową obowiązywała ta zasada?

Tadeusz Sławek: Pan mówił o uniwersytetach amerykańskich, wcześniej Tomek o licencjatach, o tym, że studenci się zmieniają na plus, trochę inaczej piszą – i to jest też właściwie syndrom amerykański. Bo kiedy mówimy „syndrom amerykański”, mamy na myśli te dziesięć najlepszych szkół, ale w zasadzie dziewięćdziesiąt procent uczelni to te, które uczą właśnie tego, czego nasze dobre liceum uczyło dawniej. I być może my teraz jako uniwersytet weszliśmy w porę wykształcania polskiej Ivy League.

Tomasz Stępień: To, co na razie robimy, to raczej partyzantka.

Tadeusz Sławek: Bardzo blisko naszej generacji myślenia. Tylko wojna partyzancka daje efekt.

Ryszard Koziółek: Dokonujemy swoistej decentralizacji uniwersytetu. Szukamy pieniędzy z grantów, tworzymy kilkuletni zespół, opracowujemy zagadnienie i działamy. Tylko po co nam w tej sytuacji uniwersytet? Może wystarczą kursy edukacyjne plus pisanie wniosków o granty. To jest bardzo niebezpieczne, moim zdaniem.

Tadeusz Sławek: I tak, i nie. Zależy, jak o tym myśleć. My toczyliśmy osobiwą „partyzantkę miejską”, nie schodząc do faveli, tworzymy ją siedząc w wytwornych, jednak, salonach. Nikt nas nie zwolni z wykonywania zajęć siatkowych. Będziemy w tym systemie. Chodzi o to, że uniwersytet musi być ze świata, ale on nie może należeć całkowicie do tego świata i nie może całkowicie i bez reszty przez jego warunki definiować siebie. Ale jednocześnie nie może ze świata wyjść. Będziemy musieli uczyć według tych nudnych siatek, któreśmy sami stworzyli, żeby bronić pensa ludzi, powiedzmy sobie szczerze. Ale z drugiej strony, jeżeli damy się kompletnie przez nie pochłonać, zginiemy. Taka – jak to Ryszard powiedział – dekonstrukcja uniwersytetu może wydawać się niebezpieczna, ale mnie się ona osobiście podoba, ponieważ ja nie wierzę, że my już mamy uniwersytet, lub że uniwersytet kiedykolwiek się zamknie w gotowej formule. My jesteśmy ciągle na drodze do uni-

wersytetu. Gdybyśmy przyjęli, że istnieje jakiś zamknięty model idealny uniwersytetu, chyba położylibyśmy sprawę. Myślę, że go nie ma. Uniwersytet się nam przydarza od czasu do czasu. I trzeba zadbać, żeby były warunki, w których może się nam przydarzyć.

Tomasz Stępień: Ja myślę, że granty są dobrym rozwiązaniem. Wieleletnie granty. Skoro już pytasz nas o pewne rzeczy i pewne zaszczości. Tadeusza po raz pierwszy spotkałem jako poetę i jednocześnie lektora; to, co mnie u niego fascynowało, u mnie jest wyraźnie rozdzielone, bo kiedy przestałem udawać poetę, zacząłem uważać, że będę ścisłym naukowcem. Oni z kolei tworzyli grupę najpierw poetycką, a potem właściwie naukowo-badawczą, która wprowadziła dekonstrukcję do Polski. I ona była jak gdyby poza strukturami uczelni.

Tadeusz Sławek: Ale wszyscy oczywiście w uczelni byli, pracowali i wywiązywali się ze swoich pensum.

Tomasz Stępień: My z kolei mieliśmy to szczęście w zakładzie teorii literatury, że za komuny nie było projektów grantów, były tak zwane problemy węzłowe i Profesor Opacki stworzył taki problem związany ze Skamandrem. W tym kręgu wychowała się grupa ludzi, którzy są teraz w różnych miejscach.

Tomasz Bielak: To wszystko prawda, ale nie myśleliście Panowie o pensji. To jest ten specyficzny rodzaj troski o swoją generację. Ekskluzywny klub czytelniczy jest wspaniałym rozwiązaniem (nawet marzeniem), ale kiedy się już po takiej dyskusji rozstajecie z młodszymi kolegami, doktorantami, studentami, to co dalej? Czy ci ludzie, dostając zaproszenie do takiego klubu, mają możliwość otrzymania etatu, a nawet przyzwoitej ilości godzin zleconych (wyplacanych raz w semestrze!), po to, by publikować, opłacić wyjazdy konferencyjne, kupić książki? Proszę zauważyć, że w ogóle nie wspominam o kryterium „codzienności” – zakup, chęć założenia rodziny, zdolność kredytowa...

Tadeusz Sławek: To jest bardzo bolesne pytanie. Rozumiem je, ponieważ od czasu do czasu dostaję maile, na jeden odpowiedziałem dosłownie przed przyjściem tutaj. Od młodego człowieka, który zrobił doktorat, jest lektorem, bardzo nad tym ubolewa, bo uważa (nie jestem przekonany zresztą, że całkiem słusznie), że to jest degradacja zawodu. On nie pyta wprost, oczywiście, ale na pewno jest to w podtekście listu – czy nie znalazłby się etat. Bo oczywiście słowo „etat” jest tutaj kluczem.

Tomasz Bielak: Bo to pojęcie wstydlive, wyrugowane z przestrzeni, wręcz niepożądane...

Tadeusz Sławek: Niepożądane, bo młodzi ludzie grają w taką grę, chcieliby mieć pewność, ale generacyjnie są już poza etatami. Oni należą do etapu kontraktu, więc nie wypada im mówić o etacie, ale myślą o nim, co tu dużo mówić. Niemniej, nie tylko na uniwersytetach powstają ciekawe i mądre rzeczy. Zaczęło się od Darwina, a zatem czy naukowiec lub filozof, czy humanista musi być zawodowcem? A może właśnie tu jest część problemu? Może nam jest potrzebny szewc typu Jakub Böhme, który będzie sobie klepał but, a potem będzie miał intelektualne olśnienia. Przesadzam teraz oczywiście. Czy humanista musi być zawodowcem? Czy my nie potrzebujemy amatorów? W najlepszym tego słowa znaczeniu – od: *amo, amare*.

Ryszard Koziołek: To jest piękny sen, ale nie do zrealizowania w tej strukturze. Odpowiedź jest w klasycznym tekście Maxa Webera: Nauka jako zawód i powołanie. Weber mówi, że życie akademickie jest hazardem. Wydajesz swoje życie działalności dziwacznej, z punktu widzenia większości praktycznych członków społeczeństwa właściwie niezrozumiałej, słabo opłacanej. Jesteśmy hybrydami, zawodowcami, bo uprawiamy tę profesję, ale Weber mówi o powołaniu, powołaniu, które jest jednocześnie pewnym zobowiązaniem, podjęciem pewnego wyzwania, które wyznacza los.

Tadeusz Sławek: To rzeczywiście jest utopia. Ale problem polega też na czym innym. To nie do końca prawda, to co on mówi. Jeżeli życie naukowe jest hazardem, to dramat naszej profesji polega na tym, że stało się nie-hazardem. Bo wiadomo, że magisterium, bo wiadomo, że... Twoje pytanie: Gdzie etat? Jaki hazard? Jacy my zawodowcy? Zawodowiec wchodzi, ma dwa kolty, albo przeżyje, albo nie przeżyje.

Ryszard Koziołek: Ale młodsze pokolenie już zaczyna doświadczać tego hazardu.

Tomasz Bielak: Proszę mi wybaczyć, jeśli zabrzmiało to wyjątkowo naiwnie: W jaki sposób mogę zagrozić profesorowi? Kim jestem w strukturze uniwersytetu?

Tadeusz Sławek: Jesteś w stajni.

Tomasz Bielak: To prawda – mam etat, ale jeszcze mam status kierowcy testowego. Tak to widzę...

Tadeusz Sławek: Ale sam powiedziałeś: jeszcze. To jest kwestia czasu. My obumrzemy.

Ryszard Koziołek: To jest kryterium biologiczne. Żeby dostać etat, musi cię zabić.

Tomasz Bielak: Zabijanie jest niemożliwe, myślę, że nigdy nie było możliwe. To intrygujący symbol relacji emocjonalnych i intelektualnych między Młodymi i Starymi. Nie rozumiem, kto i kiedy przeniósł tę symbolikę na relacje administracyjne, niejako wmawiając młodym i naiwnym, że to jest możliwe. To jest tylko śmieszne i śmieszny jest człowiek, który o takich gestach w ogóle myśli. Mamy taki znakomity eliksir dający jednej ze stron nieśmiertelność w tej rozgrywce: nazywa się habilitacja.

Tadeusz Sławek: Ale tak rozumiane „zabijanie” powinno być możliwe. „Zabijanie” mistrza jest obowiązkiem. Nie ma nic gorszego niż mistrz, który siedzi i trzyma wszystko w garści cały czas.

Ryszard Koziołek: Nie ma pola dla takiej gry w strukturze naszego uniwersytetu.

Tomasz Stępień: Tak to jest, kiedy ktoś siądzie na jakimś stołku, dojdzie aż do rektora, to potem już bez przerwy na jakimś stołku siedzi albo dożywotnio jest dyrektorem instytutu. Oczywiście to też jest sensowne – zajmowanie się pracą dydaktyczną, wychowywaniem kolejnych doktorów. Ale kiedy się przestaje pisać, wchodzi w przestrzeń administracyjną, wtedy się właściwie do pracy *stricte* naukowej, czy do humanistyki, nie wraca. Natomiast nasz przyjaciel – chyba tak mogę powiedzieć – jest przykładem kogoś, kto był na najwyższym stołku na poziomie uniwersyteckim, bez specjalnego żalu – jak sądzę – go opuścił, funkcjonuje w tej chwili jako profesor i ciągle pisze. I ma status mędrca.

Jeszcze tylko krótko o doktoratach i etatach... Kiedyś było „po bożemu” – był kierownik seminarium magisterskiego, który na ogół kierował również katedrą lub zakładem i on proponował zatrudnienie utalentowanym (jego zdaniem) absolwentom. Oferował etat asystenta w swoim zakładzie, potem był okres siedmiu lat, kiedy pisało się doktorat, prowadząc jednocześnie zajęcia, mając obciążenia administracyjne. Nie było żadnych konkursów ani studiów doktoranckich. W nowych czasach jest inaczej i uważam to za niemoralne, że zatrudniamy doktorantów stypendystów jako asystentów, a potem, choć okazuje się, że doktorat jest bardzo dobry i jego pracę recenzenci zgodnie kwalifikują

do druku, to nie ma pieniędzy na druk, nie mówiąc o etacie. W momencie upowszechnienia studiów doktoranckich wiele osób robi doktoraty ze względów zawodowych; to jest forma nobilitacji, patentu szlacheckiego. Można założyć, że, analogicznie do studiów wyższych, doktorat ubogaca wewnętrznie. Natomiast nie przekłada się na zawód, na pieniądze. Istnieje problem dużej liczby bardzo zdolnych doktorów, aspirujących do pracy na uczelni. Każdy dziekan, kierownik katedry czy zakładu ma stos podań od tych, którzy właśnie zrobili doktorat i szukają pracy, szukają etatu. I ci ludzie pozostają „niezagospodarowani”. Ciągłe istniejemy w kręgu etatu, który daje jakąś tam gwarancję najpierw na rok, potem pięć lat, dziesięć, potem ewentualnie na całe życie. Być może rozwiązaniem byłyby właśnie granty, kontrakty umożliwiające zatrzymanie tych ludzi w obrębie branży, dyscypliny. I to adresuję już do was, jako do tych, którzy będą rządzić uczelniami w najbliższej przyszłości.

Ryszard Koziołek: Czego my oczekujemy od przyszłości? Bo jak jest, jak było, to wiemy. Wy mnie niczego nie uczycie o przyszłości. Dlatego, że wasza sytuacja obecna jest właściwie poruszaniem się gdzieś na marginesie uniwersytetu, a właściwie w waszych słowach pojawia się nieustanny dystans wobec uniwersytetu. To jest przygnębiające. Ponieważ Tadeusz, który przeszedł wszystkie szczeble kariery administracyjnej i wie o tym wszystko, w tej chwili znajduje się w miejscu, w którym ta wiedza właściwie na niewiele mu się przydaje.

Tadeusz Sławek: Zgadzam się. Tak to z grubsza wygląda.

Ryszard Koziołek: I to, co robisz istotnego dzieje się właściwie w przestrzeni poza uniwersytetem lub też wykorzystujesz przestrzeń uniwersytetu do tego, żeby robić coś, co jest poza siatką i poza twoimi zawodowymi zobowiązaniami. Funkcjonujesz w przestrzeni publicznej, pozauniwersyteckiej, tam jesteś częściej rozpoznawany, czytany czy oglądany, a uniwersytet nie stara się nawet tego zagospodarować, włączyć w swój obręb.

Tadeusz Sławek: Czy zmierzasz do tego, że instytucja nie wypracowała formuł, w których moglibyśmy ją zmienić?

Ryszard Koziołek: Bezład instytucji jest gigantyczny. Wzmocniony posunięciami prawnymi ministerstwa, które edukację humanistyczną przekształcają w kursy maturalne.

Tomasz Stępień: Instytucja jest zawsze nieruchawa i wykazuje się statystyką. Konieczna jest aktywność jednostki, która ewentualnie

tworzy wokół siebie grupę ludzi. Oczywiście musi się jakoś wpisać w instytucję. To tak, jak z kołem naukowym w punkcie wyjścia, kiedy zaczynamy. Same procedury niczego nie zapewnią, jeśli nie ma ludzi, którzy chcą robić coś nowego, coś innego. Tak samo jest ze „Światem i Słowem”, dla którego tutaj rozmawiamy, gdyby nie Anka Węgrzyniak, tego pisma by nie było. W gruncie rzeczy wszyscy pracują w nim za darmo.

Ryszard Koziołek: Jeśli tak, to oba modele są nieskuteczne, zarówno ten oparty na poczuciu misji, jak i ten „korporacyjny” – przejęty ze świata ekonomii. Zdając sobie z tego sprawę, postępujemy cynicznie w rozumieniu Sloterdijka, tzn. nie wierzymy, ale zachowujemy się tak, jakbyśmy wierzyli. Przychodzimy do roboty, czytamy książki, komentujemy je, ale straciliśmy wiarę, że nasza działalność ma jakieś znaczenie pozaekonomiczne.

Tadeusz Sławek: To prawda, tu tylko dopowiedź – nie sądzę, że straciliśmy wiarę. Nie wydaje mi się też, żeby utrata wiary była czymś złym i musiała prowadzić do takich zatrważających konsekwencji. To jest sytuacja kryzysu, a ja myślę, że humanistyka jest bardzo głęboko w poczuciu kryzysu osadzona. Poza tym, mówiłeś z pewnym patosem, że nie ma entuzjazmu, że nie kocha się instytucji, to prawda, a z drugiej strony – mnie zawsze przerażali ludzie, którzy kochają instytucję. Ja bym z tego braku miłości nie czynił zarzutu. Myślę, że dystans do instytucji, prowadzona z nią gra – ma swoją wartość, ma także wartość uczenia innych. Dzięki temu wytwarza się szczelina, w której młody człowiek zaczyna widzieć, że są różne światy, że to nie jest tylko instytucja. I teraz może patrzy krytycznie na instytucję, ale może spogląda bardziej krytycznie na świat poza nią. W sytuacjach kryzysu i rozpoznania kryzysu uniwersytetu widziałbym raczej zalety, bo uniwersytet zadowolony z siebie jest marnym uniwersytetem. I wreszcie na koniec, część naszego powołania to jest właśnie powolne odzyskiwanie wiary. Wiary w to, że przez książki, które czytamy, można sprawić, że ludzie złączą sobie zadawać pewne bardzo generalne pytania, których najczęściej sobie nie zadają. Myślę, że szkoła też ich nie zadaje, bo uczy bardzo pragmatycznych umiejętności, przynajmniej takie było założenie reformy. Takie podstawowe pytanie to właśnie: Po co tu jesteśmy? Zresztą nie tylko tu na uniwersytecie, ale w ogóle, po co jesteśmy. Ta wiara, a może raczej odzyskiwanie wiary, prowadzi nie do formułowania nowej ortodoksji, ale do nieustannego powoływania herezji. Uniwersytet powinien być od herezji, a nie od ortodoksji. Oczywiście używam tych słów poza ich

czysto teologicznym zasięgiem. Z jednej strony bliska jest mi ta idea, o której mówi Tomek, idea humanistyki, która dzieje się w klasie, w rozmowie. Książki są potrzebne nie po to, żeby ich było więcej, tylko po to, żeby zająć ludzi rozmową i żeby przestali pisać. I to jest paradoks. Ale powiedzmy sobie szczerze, jeżeli takie jest powołanie, to uniwersytet trafił na fatalny moment, bo dzisiaj wszyscy chcą mówić. Mało kto chce milczeć – patrz media. Mało kto chce być słuchającym i pewnie ci młodzi ludzie, którzy tu przychodzą, też po części przychodzą z takiego świata, który jest światem mówiącym, a nie słuchającym. I całkiem na koniec: tak sobie na nowo odczytałem Swifta. Myślę, że to jest wielki dekonstruktor, wciąż nieodczytany. Mam teraz na myśli świetne fragmenty o mędrcach w akademii. Od czego zaczynają – od tego, że są niedopłaceni. Pierwszy, który chce odzyskać światło słoneczne z ogórka, błaga o datkę, bo nie ma środków na prowadzenie badań. Drugi, który chce odzyskać żywność z ekskrementów (to już jest cały Swift ze swoją analno-skatologiczną wizją świata) też prosi o dotację, a jakże, bo miasto daje mu tylko dwie beczki nawozu ludzkiego, a nie daje mu środków. Trzeba czytać Swifta. To wielki mistrz, wielki złośliwiec.

Tomasz Bielak: Jeszcze raz pomogę sobie cytatem z książki Lodge'a: „próbuję skończyć książkę. Co to za książka? *Obraz kobiety w XIX-wiecznej prozie*. Czy sądzisz, że ludzie potrzebują jeszcze jednej książki na ten temat? – pytał Baldwin. Tego nie wiem, ale na pewno będą ją mieli. Na niej opieram swoją nadzieję na stałą pracę”. Porzuciłbym ten pogrzebowy ton Watersa i niby-darwinizm Hellera. Róbmy swoje – piszmy, walczmy o pieniądze na konferencje, książki, wyjazdy, uczmy się od lepszych i, co podkreślam z całą stanowczością, uczmy się również od studentów – przy obecnych tendencjach rozwojowych kultury to oni wiedzą coraz więcej, coraz szybciej. Są *always on-line*, mówi się o nich *Digital Natives*, nie trzeba tego tłumaczyć. Być może przemawia przede mnie nadmierna łęklliwość, może jestem przedstawicielem „kultury bezradności”, w której ekonomia (nawet afektywna) zwyczajnie nas przytłacza. Uważam, że uzalanie się byłoby hipokryzją, przecież zawsze moglibyśmy być pracownikami korporacji i „zaznać słodyczy” zwolnienia grupowego. Trudno mówić za moich rówieśników, ale osobiście nie będę narzekał na instytucję, bo wiem, jak jest być „poza Alma Mater”.

Tadeusz Sławek: Teraz jeszcze na koniec prośba do Tomka i Ani: może warto by było jeden numer „Świata i Słowa” oddać na rozważania tego, co jest „użyteczne”. Nie ma sensu uciekać przed tym pojęciem, ono jest na swój sposób piękne. Nikt nie zamierza robić cnoty z nieuży-

teczności, nie chodzi o przeciwstawienie, ale o to, że „kupiliśmy” słowo „użyteczność” i teraz sami nie wiemy, co ono oznacza, a jest używane tak dla nas, jak i przeciwko nam. Jak nas lubią, to mówią: „tak, jesteście użyteczni”. A jak nas nie lubią – mimo, że robimy dokładnie to samo, mówią: „jesteście nieużyteczni”. Więc może warto byłoby się zastanowić, co to w ogóle jest użyteczność. I tutaj czekają nas rozważania ponaddiscyplinarne, bo przecież niektórym fizykom, takim klasycznym fizykom właśnie, stawia się ten sam zarzut.

Ryszard Koziołek: I to jest propozycja tematu do jednego z następných numerów „Świata i Słowa”, i właściwa puenta naszej dość długiej rozmowy.

Serdecznie dziękujemy za trud przeniesienia tej rozmowy z zapisu dźwiękowego na tekstowy studentom Koła Naukowego Polonistów ATH: Zuzannie Cygielskiej, Annie Jaworskiej, Joannie Kulce, Mateuszowi Płotkowiakowi, a także Beacie Stefaniak (UŚ) za pomoc w korekcie i redakcji tekstu.